

Kairos w książce „Boga nie ma, jest życie” Piotra Augustyniaka

(Dokończenie ze strony 17)

To prawie oksymoron i właśnie tak zaczyna się ta książka. Książka o Bogu, który według autora nie istnieje, i życiu, którego doświadczamy wszyscy bez względu na nasze wierzenia czy ich brak. Życiu, na które Grecy mieli dwa określenia: „zoe” i „bios”.

Długo czekałem na tę książkę, którą z dedykacją Piotra przysłało mi wydawnictwo Znak. Piotra poznałem dzięki mediom społecznościowym. Po lekturze jego głośnej książki „Jezus Niechrystus” koniecznie chciałem poznać autora i bez trudu tam go znalazłem. Od słowa do słowa nakłoniłem Piotra do udzielenia wywiadu dla jednego z literackich kwartalników, przy okazji przechodząc na ty, aby lepiej nam się „rozmawiało”. Słowo „rozmawiało” jest celowo w cudzysłowie, ponieważ w tym czasie straciłem słuch. Z książki „Jezus Niechrystus” dowiedziałem się o kairosie. Kairos to termin pochodzący ze starożytnej greki, będący religijno-filozoficznym określeniem na sprzyjający czas decyzji, który niewykorzystany miałby niekorzystny wpływ na dalsze koleje życia (za Wikipedią). I ten nowo nabyty przeze mnie logizm dał mi siłę graniczącą z uporem maniaka do zrobienia tego wywiadu, pomimo mojego niedosłuchu.



A więc tak to się mniej więcej zaczęło. O czym jest książka „Boga nie ma, jest życie”? Do jakiego gatunku przynależy?

Czy w ogóle da się ją „ugatunkować”? Zostawiam to literaturoznawcom. Dla mnie to czysta poezja, nawet kiedy jest filozoficznym esejem, miejscami autobiografią czy teologiczną ekwilibristyką. Erudycja, a przy tym lekkość (poetyckość) pióra zachwyca. Nie omieszkalem napisać Piotrowi, że dla mnie jest przede wszystkim poetą, nawet kiedy robi za filozofa. Niczym rasowy przewodnik oprowadza czytelnika po Gdańsku, Krakowie, Nowej Hucie, Grecji (przede wszystkim po Peloponezie), Austrii, Szwajcarii, Niemczech, Ukrainie, a nawet Liechtensteinie, gdzie przypominał sobie pobyt Hansa Castorpa z „Czarodziejskiej Góry” w niedalekim Davos. Oprowadza nas nie tylko po Europie, ale przede wszystkim po filozofii Nietzschego, Heideggera, Mistra Eckharta i po całej galerii greckich filozofów antycznych. Wszystko po to, aby – jego zdaniem – za pomocą kairosu uwolnić nas z religijnego (narzuconego nam) modelu myślenia. Jest w tej książce pewien kuriozalny fragment, który chcę przytoczyć w całości, aby niczego nie uronić:

Pierwsza była już wspomniana świątynka Janisa. Jej wnętrze za sprawą ikon, woskowych świeczek, które zapaliliśmy, chyłącego się ku zachodowi słońca zapamiętałem jako ciepłe złoto. Było to nazajutrz po zawińnięciu na półwysep. Coś mnie tknęło i świeczkę zapaliłem z myślą, że chciałbym tu kiedyś powrócić i zostać na zawsze. Niewierzący, już nieodwołalnie niechrześcijanin, poczułem, że mógłbym się modlić. I rzeczywiście, była to jakaś dziwna modlitwa niewierzącego.

Kiedy przeczytałem ten fragment, natychmiast skojarzyła mi się książka świeckiego mnicha buddyjskiego Brada Warnera „Bóg nie istnieje i jest zawsze z tobą”. Co potwierdza, że temat, który z taką werwą i poetyckością opisuje autor, ma charakter uniwersalny.

I na koniec.

Piotr Augustyniak nie aspiruje do pozycji guru, raczej do survivalowego przewodnika, który stawiając pierwszy krok, daje nam przykład jak radzić sobie z życiem „bios”, przechodząc do życia „zoe” poprzez rozpoznawanie kairosu. Nie mam wykształcenia akademickiego, czytam Piotra intuicyjnie, być może nie nurkuję aż tak głęboko jak on, ale to, co weszło we mnie w trakcie lektury tej książki, jest czymś w rodzaju brzasku.

Jest kairosem...

Mirosław G. Majewski

Współbrzmiący dwugłos

W poznańskim Wydawnictwie Literackim ATENA wyszedł tom poezji znanych mi osób, z nieznanym mi słowem w tytule,

którego znaczenia zaledwie mogłam się domyślać, ale to nie wystarczy, by mieć pewność. Moje podejrzenie, że znaczy ono Laponia potwierdziła Maria Magdalena Pocgaj, poznanianka i bamberka, współautorka tomu pod pełnym tytułem „SÄPMI. Wiersze z Północy”.

Stanowi on – jak to określiła inicjatorka publikacji – „dwugłos poetycki”. I słusznie, bo na całość składają się jej wiersze i wiersze Andrzeja Szmala, poznaniaka od lat mieszkającego w Laponii.

Przyznam, że nie lubię, gdy poeci lekturę swych wierszy poprzedzają takimi informacjami jak: cytuję mały fragment – „Krótkie poetyckie notatki są próbą zobrazowania stanów emocjonalnych i duchowych, jakie towarzyszyły mi w zetknięciu z tamtejszą przyrodą, zwłaszcza...” Odbieram je jako brak zauważania zarówno do własnej poezji jak i indywidualnego jej odbioru przez poszczególnych czytelników. Tym razem autorom wybaczę. I wcale nie „po znajomości”, lecz dlatego, że geneza tych wierszy jest niecodzienna a przyroda w szwedzkiej Laponii unikalna i niedostępna czytelnikom, do których jest kierowana.

Na pewno dobrym rozwiązaniem jest przyjęta przez oboje autorów zasada podawania pod wierszem miejsca i daty jego powstania.

Już okładką, przedstawiającą las zatopiony w wodzie jakby „do góry nogami”, autor zdjęcia Andrzej Smał doskonale sygnalizuje inność krajobrazu i oświetlenia. Bo to doświadczony fotografik i autor diaporam, poeta, który wreszcie zdecydował się na debiut książkowy. W przeciwnieństwie do niego Maria Magdalena Pocgaj to doświadczona autorka, mająca na swym koncie już 16 tomików oraz ciekawe i piękne odwrócenie tego, co zwykliśmy nazywać ilustracją. Będąc plastyczką, uprawiającą rysunek i fotografię, w 2003 roku zilustrowała słowem – oczywiście poetyckim – album zdjęć Antoniego Ruta przedstawiający „WIERZBY WIELKOPOLSKIE”. Efekt? – Doskonały. Partnerzy godni siebie i zachwytu odbiorców.

Obrazy wiersz w różnych porach dnia, roku przechodzą od fotograficznej rzeczywistości ku metafizycznemu odrealnieniu. Oglądamy je poprzez rozmyty błękit zmierzchu, w blasku księżycy wśród niesamowitej czerni nocy, aż do zupełnego odrealnienia w płaskim lodowym reliefie wykutym „dłutem mrozu... w srebrze nocy” Wyobraźnia poetki współgra z wrażliwością fotografa. Twórcy odśladają nie tylko urodę, także okaleczenie i przemijalność. Nie sposób zaprezentować pełną harmonię obrazu i słowa bez pokazania jednocześnie zdjęcia i poetyckiego komentarza, lecz próbuję.

Tło stanowi w dwóch trzecich błękitne niebo miejscami rozbielone. Jedną trzecią odciętą wąskim paskiem zieleni zajmuje pole pokryte śniegiem. Na pierwszym planie, sięgając konarami poza ramy zdjęcia, stoi goła potężna wierzba na pękniętym na dwie części pniu. Całość delikatnym różem podświetla ostatni promyk zachodzącego słońca.

Pod zdjęciem poetycki komentarz: „Błękitna rapsodia nie ukoł bólu pękniętego żywo-